

Steffen Junior, Edward

W wirze zamieci (2) : pamiętniki z wojny /rok 1940/

Przegląd Pruszkowski nr 1, 53-66

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W wirze zamieci (2)

Pamiętniki z wojny /rok 1940/

Do Równego pojechałem wczesnym ranem. Kolega Jochweds, pracujący w szpitalu wojewódzkim, namawiał mnie do pozostania. W Wydziale Zdrowia /Gorzdraw/ zaproponowano mi objęcie niewielkiego szpitala rejonowego w Aleksandrii nad Horyniem. Była to dawna siedziba Czartoryskich. Nie byłem zdecydowany i dlatego postanowiłem odwiedzić jeszcze Cumań, gdzie pracował Marian Gelbsztajn, późniejszy profesor ginekologii i położnictwa we Wrocławiu i Łodzi, postępujący się po II Wojnie Światowej imieniem i nazwiskiem Stanisław Krzysztoporski.

Była druga połowa 1940 roku.

Wysiadłem na małej stacyjce drogi żelaznej prowadzącej z Kowla do Równego i dalej na wschód. Na południowy zachód, w odległości 8 kilometrów, znajdowało się miasto Ołyka, a na północny zachód w podobnej odległości osada Cumań, gdzie Radziwiłł, ordynat ołycki, zbudował duży tartak z zabudowaniami gospodarczymi. Wokół tartaku powstawały domki pracowników obok istniejącej od dawna wsi z cerkwią i plebanią popa prawosławnego. Radziwiłł wybudował nadto obszerny jednopiętrowy budynek przeznaczony na potrzeby reprezentacji i myślistwa. Powstał również kościół katolicki według wzoru upatrzzonego na Zachodzie przez fundatora. W budynku reprezentacyjnym umieszczono po wybuchu wojny w 1939 roku szpital polowy, przekształcony później na stały szpital rejonowy, cywilny.

Kolega Gelbsztajn przyjął mnie wylewnie, choć spodziewał się przyjazdu innego kolegi - Fejrajzena, Zamieszkałem w dużym pokoju razem z gospodarzem i rodziną Wrocławskich, mężem i żoną. Na tym samym pięterku niewielkiej willi mieszkała jeszcze lekarka stomatolog z mężem a na parterze lekarz pediatra Desser z żoną. Wszyscy narodowości żydowskiej. Zespół ten nazywałem w myślach „kołchozem Gelbsztajna”.

Oddzielne mieszkanie zajmował dłużej już tu pracujący lekarz Polak Romuald Secheń, z matką i siostrą. W kołchozie Gelbsztajna panowała pewnego rodzaju wspólnota ze wspólnym żywieniem. Zająłem tapczan, mając czym się okryć, ale spałem bez poduszki. Zestaw moich osobistych

rzeczy był wyjątkowo skąpy, gdyż część ich została w Stanisławowie. Trafiałem, niestety, na niepokoje w tym niewielkim środowisku lekarskim cumańskiego rejonu. Kierownik szpitala, kolega Secheń, zwalczany w gronie Gelbsztajna, został niedawno zwolniony ze stanowiska i skierowany do lecznictwa otwartego, co gorsza przewidziano dla niego odległy wiejski rejon lekarski. Secheń był lekarzem ogólnym, znajdującym się praktycznie na położnictwie oraz małej chirurgii. Zaprezentował się jako człowiek mało dostępny, przyglądał się mojej osobie podejrzliwie, przypuszczając najpewniej, że miejsce pracy było dla mnie już z góry zaplanowane. Błędem z mojej strony było to, że nie pomówiłem już na samym początku z kolegą Secheniem i nie wyjaśniłem sytuacji, szczególnie mojej zażyłości z Gelbsztajnem. Co się zaś tyczy mojej genealogii, to w Cumanii spotkałem dwóch pruszkowian, którzy mogli za mną świadczyć, znając dokładnie naszą rodzinę z jej głową, szanowanym lekarzem i obywatelem.

Szpitałem w Cumanii kierował tymczasowo Gelbsztajn, który przestał już być kierownikiem Rajzdruwu, to jest rejonowego wydziału zdrowia. Jego stanowisko zajęła młoda felczerka, Ukrainka Tamara Wasiliewna Sidelnikowa. Kolega Gelbsztajn, jak się wkrótce okazało, planował wyjazd do Lwowa do kliniki położnictwa i ginekologii. W tym celu szukał zastępcy i z chęcią zaproponował mnie na stanowisko kierownika szpitala. Nie było większych trudności z zamianowaniem mnie, musiałem jednakże napisać życiorys, w jakiś sposób omijając wydarzenia ze Stanisławowa. Widocznie byłem potrzebny, a przy tym dostatecznie dobrze posługiwałem się językiem rosyjskim, toteż sprawa przeszła gładko u władz administracyjno-lekarskich. Należało jednak uzyskać zameldowanie i rejestrację u terenowych władz wojskowych. U komendanta robotniczo-chłopskiej milicji NKWD musiałem podać ustnie życiorys. Kiedy jednak doszło do sprawy rodziny przebywającej za kordonem, rejonowy dygnitarz zapytał, a raczej stwierdził:

- No więc, jak to będzie? Wy tu, a rodzina tam? Jesteście człowiekiem niepewnym. - / - W etom smysle wy nie błagonadożny - /.

Na odpowiedź zdobyłem się niespodziewanie:

- Przecież w zamiarach waszej władzy jeszt dalszy pochód na Zachód, a więc i do Warszawy.

Komendant popatrzył na mnie z niemałym zdziwieniem, ale i aprobatą.

- No dobrze, my was zameldujemy, idźcie do pracy i okażcie się godnym zaufania, jakiego wam udzielamy. /- Iditie rabotat i oprawdywajtie dowierje-/. Ten slogan był powszechnie używany. W wojenkomacie sprawa nie poszła tak gładko. Komendant uparczywie dopytywał się, gdzie w jakiej

instytucji wojskowej byłem zarejestrowany na terenie Zachodniej Ukrainy. Było to nader niepokojące pytanie. Co prawda rejestrowałem się wcześniej w tymże 1940 roku w komendzie miasta Stanisławowa. Na szczęście indagujący przeszedł na inny temat dotyczący tego, gdzie odbywałem kadrową służbę wojskową. Odpowiedziałem, że nigdy nie byłem zawodowym wojskowym, a w czasie wojny z Niemcami zostałem powołany do pracy w szpitalu zakaźnym polskiego wojska i ewakuowany na Południe. Komendant nie dawał wiary, zadawał wrywkowe pytania, powracając do zasadniczego:

- Gdzie kadrowym służyli?

Czyli gdzie służyłem jako zawodowy wojskowy. Dalsze pytania dotyczyły tego, gdzie i kiedy mieszkałem. Żądał podania dokładnych danych. Odpowiedziałem, że nie mogę tego podać ściśle, jedynie miejscowość i datę urodzenia, bowiem moi rodzice przynosili się parokrotnie w czasie mojego niemowlęstwa.

- No, jak to? - nalegał komendant. - Nie pamiętacie ani ulicy, ani numeru domu?

Ta szermierka słowna trwała dość długo, wreszcie komendant zamknął moje papiery do szafy pancерnej i po namyśle kazał przyjść następnego dnia. Kiedy przyszedłem następnego dnia rano do wojenkomatu komendant udawał zdziwionego. Musiałem przypominać, o co chodziło.

- No więc, twierdzicie nadal, że nie służyliście w wojsku zawodowo?

- Nie służyłem, na wojnę z Niemcami byłem powołany ze służby cywilnej.

Po tej wymianie zdań komendant wyjął z szafy moje dokumenty i ze słowami:

- Idźcie do pracy i okażcie się godnym zaufania - oddał mi je.

Tak zacząłem urzędować w szpitalu rejonowym w Cumanii jako internista i kierownik instytucji.

Budynek szpitalny zbudowany w latach międzywojennych stał na wysokiej skarpie nad kotliną, którądy płynęła niewielka rzeczka ze zlewiska Horynia. Solidny jednopiętrowy budynek postawiony na planie prostokąta z kamienną podmurówką, kryty gontami, tworzącymi nad ścianami szerokie okapy. Od strony podjazdu szerokie schody prowadziły do przedsionka i obszernego hollu - salonu. Na ścianach tych pomieszczeń była rozpięta tkanina samodziałowa ujęta w szerokie ramy z brzożowego drewna, pięknie wypolerowanego. Również z brzozy w naturalnym kolorze wykonane były żyrandole. Z tym wystrojem kontrastowały meble pozbierane z różnych zestawów, pochodzące najpewniej z ordynacji ołyckiej. Kanapa z

oparciem wygiętym pod kątem rozwartym była pokryta pięknym adama-
szkiem, przy niej okrągły mahoniowy stolik. I jeszcze sekretarzyk z ciemne-
go drewna z mosiężnymi okuciami, ale na nim obskurne pudło aparatu
radiowego. W dużych pokojach, przeznaczonych na sale chorych, były
wysoko sięgające boazerie; reszta ścian i sufity malowane na biało. W
salach rozstawiono doraźnie wykonane w stolarni tartaku łóżka z deskami
zamiast siatek. Sienniki napychane słomą, ale wszystkie poduszki z pierza.
Nie brakowało bielizny pościelowej i osobistej dla chorych. Obok sal
przeznaczonych dla chorych przygotowano salę operacyjną z pomiesz-
zczeniami przedoperacyjnymi, sterylizację i łazienkę. Resztę parteru zajmo-
wały dwa pokoje dla administracji, izba przyjęć i pomieszczenia kuchenne.
Na piętrze, dokąd prowadziły szerokie, wygodne schody, mieściły się
pokoje rozplanowane korytarzowo, spory holl oraz wejście na przygórki i
do apteki. Piętro było przeznaczone dla chorych obserwacyjnych i
zakaźnych. Na tym piętrze były dwie łazienki oraz oddzielne ubikacje.

Umieszczenie w lokalu o takim rozkładzie, na salach ze wspólnym
korytarzem, chorych przyjętych na obserwację oraz zakaźnych wymagało
wzmoczonego dozoru. Na szczęście uniknęliśmy zakażeń pochodzenia
wewnętrznoszpitalnego.

Kuchnia, mieszcząca się w tym samym budynku, była przestrzenna,
widna i dobrze przewietrzana. Stało tam zabytkowe duże lustro w bogatych
złożonych ramach, zdobyte przez pana Wąsika, kucharza z prawdziwego
zdarzenia, byłego pracownika ordynacji. Ozdobą budynku i dużą wygodą
dla chorych chodzących były dwa duże tarasy, na parterze i na piętrze. Z
tych tarasów roztaczał się rozległy widok nie tylko na leżącą u podnóża
skarpy kotlinę z przepływającą rzeczką i na tak zwaną wyspę z mieszczą-
cymi się tam budynkami rejonowych władz, ale i dalej, na panoramę
rozległych lasów ciągnących się dziesiątkami kilometrów. W lasach tych
zdarzały się jeszcze mało dostępne ostępy gąszczu i podmokłego gruntu.

W budynku gospodarczym mieściła się pralnia i pokoiki służbowe, była
również stajnia z parą koni, ale bez pojazdu pasażerskiego i kilka sztuk
trzody chlewnej. Budynek szpitalny stał w sporym parku, jeszcze nie
zupełnie zadrzewionym z obszerną altaną, o której będzie jeszcze mowa.

Osada Cumań rozwijała się przy czterogatowym tartaku z wąskotoro-
wą kolejką dowożącą z głębi lasów kłody różnych gatunków drzew. Czynna
była duża stolarnia, a zakładowa elektrownia dostarczała prąd dla całego
osiedla. Z wodociągu, należącego do tartaku, korzystał również szpital. Po
przyjściu władzy radzieckiej powstała sieć urzędów rejonowych z prokura-
turą i sądem ludowym /narodnyj sud/ oraz rejonowy komitet partii i kom-

somołu. Rozwinięto punkty zbiorowego żywienia, powstały sklepy i sklepy „Rajpotrebspiłki” - odpowiedniki naszych geesów; wybudowano szkołę dziesięciolecia. Do zarządu tartaku należała świetlica udostępniana również miejscowej ludności. Wyświetlano tam filmy z przedwojennego polskiego repertuaru i nowe - produkcji radzieckiej, przeważnie nie pozbawione niewybrednej propagandy. Nieopodal szpitala stała cerkiew, a kościół katolicki z plebanią usytuowano na wprost wjazdu do środka osady. Oprócz szpitala służba zdrowia Cumania rozporządzała przychodnią, izbą porodową pod ścisłą opieką lekarza specjalisty oraz apteką. Urzędowała również Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna, W szpitalu, obliczonym na 40 łóżek, pracował oprócz mnie kolega Gelbsztajn, ginekolog położnik, który wykonywał również rutynowe zabiegi chirurgiczne - wyrostki robaczkowe i przepukliny. Te ostatnie, jeśli dotyczyły mężczyzn w wieku poborowym, były dokonywane na zlecenie władz wojskowych i pod ich kontrolą. W razie nieobecności doktora Gelbsztajna wzywałem do pomocy lekarza Cymmera z wiejskiego rejonu, dość odległego. Ten kolega dawał sobie radę z zabiegami położniczymi w terenie. W szpitalu asystował przy operacjach chirurgicznych, nabierając doświadczenia. Kolega Cymmer był zdecydowanym i śmiałym człowiekiem.

W oddziale zakaźnym i wewnętrznym pomagał mi młody lekarz, kierownik miejscowej stacji Sanepid. Nazwisko tego lekarza wypadło mi z pamięci.

Przełożoną personelu pielęgniarskiego i salowych była pani Eugenia-Zenia Sosnowska, córka Polaka i Rosjanki. Pochodziła z Syberii, miała opanowaną pracę instrumentariuszki operacyjnej, Trzon zespołu pielęgniarek stanowiły dziewczęta radzieckie, członkinie organizacji komsomolskiej. Ukończyły szkołę pielęgniarską, chyba niższego rzędu, albo były przeszkolone doraźnie, na co wskazywał poziom ich umiejętności. Posługiwały się wyuczonymi tekstami i sloganami. Chętnie operowały nie tyle „samokrytyką”, co prymitywnie uzasadnianą krytyką wszystkiego, co „ideologicznie” obce. Wśród tych dziewcząt, kandydatek i członkiń komsomołu, była pielęgniarka Luba, prymitywna, ale wścibska osoba. Niewątpliwie zajmowała się śledzeniem mnie, czego zresztą nie potrafiła ukryć. Przy różnych okazjach starałem się uzupełniać wiadomości fachowe i ogólne tych dziewcząt. Nieraz słuchały ze zdziwieniem i niedowierzaniem tego, czego nie uczono ich w szkole. Z wątpliwościami chodziły do komitetu komsomołu, co powodowało pytania telefoniczne, szczególnie gdy skarciłem którąś z nich. Indagowano mnie dlaczego i w czym zawiniła? ... Luba

podstuchiwała pod drzwiami, zwłaszcza gdy rozmawiałem z pracownikiem nie należącym do ich zespołu.

Pewnego dnia byłem w kancelarii z księgowym Kuropatwą, Rosjaninem od dawna mieszkającym w Cumanii. Rozmawialiśmy o sprawach szpitalnych - chyba po polsku. Kuropatwa zwrócił mi uwagę, że ktoś podszedł do drzwi i zapewne podsłuchuje. Szybko otworzyłem je i trafiłem w nos pielęgniarkę Lubę. Inna pielęgniarka Frosia Lisica była mniej więcej taka, jak to sugerowało jej nazwisko. Halę /Galę/, ciężką i mało inteligentną, przyłapałem na tym, że w tych samych, nie przemywanych kieliszkach podawała leki, obchodząc pokoje, gdzie leżeli zakaźnie chorzy.

- A ja zapomniałam! - tłumaczyła się Gala.

Tylko wysmukła Katia wyłamywała się spod kurateli komsomołu, a nawet partii i wbrew stanowisku zwierzchnictwa organizacji, wyszła za mąż za miejscowego Ukraińca, źle widzianego przez władze polityczne.

Wśród salowych, dobieranych, jak zwykle bywa, przypadkowo, wyróżniała się pracowita Polka Władysława P. Niestety, schizofreniczka, karana w kraju w okresie przedwojennym więzieniem za działalność komunistyczną. Miała średnie wykształcenie handlowe, ale nie starała się mówić innym językiem jak ojczysty, po polsku. Nazywano ją towarzyszką, tak, jakby to było jej rodowe nazwisko. Towarzyszka Władzia twierdziła, że po wojnie, w Polsce Ludowej, ulegną regeneracji jej amputowane części narządu rodnego. Salowa Władzia i lekarz Cymmer w czasie natarcia Niemców w 1941 roku, kiedy niemal cała ludność Cumania ukrywała się we dnie w pobliskich lasach - nieustraszeni pracowali w szpitalu, opiekując się chorymi i rannymi, którzy nie mogli zwlec się o własnych siłach z łóżek. W tym czasie inni chorzy, wśród nich nawet dotknięci tężcem, puciekali.

Inaczej wspominam felczera Samsonienkę, byłego żołnierza rosyjskiego, uchodźcy ze Związku Radzieckiego po nastaniu tam ery bolszewickiej. Samsonienko należał do grupy generała Bałachowicza, działającej i sprzymierzonej z Polską na początku lat dwudziestych. Władze radzieckie po zajęciu naszych ziem kresowych nie pozwoliły Samsonience pracować w Cumanii, wyznaczając rejon zameldowania w sąsiednich Maniewiczach i tam też pracę w sanatorium przeciwgruźliczym. Wydano mu paszport na okres jednego roku bez obywatelstwa i prawa obrony ojczyzny. Po wkroczeniu wojsk Hitlera tymczasowe władze ukraińskie pozwoliły Samsonience powrócić do Cumania i objąć pracę w szpitalu, co postawiło mnie w kłopotliwej sytuacji, gdyż pracownik ten był nałogowym alkoholikiem z czynną gruźlicą płuc. Samsonienko w tym czasie pił skażony spirytus, którego zapas pozostawili żołnierze. Rano wypijał szklankę trunku, zagry-

zał byle czym, a gdy napój zaczął działać, Samsonienko rządził szpitalem. Wprowadzie działało się tak tylko w mojej nieobecności i było odpowiednio korygowane, ale sprawiało duże zamieszanie.

Innym kłopotem było zachowanie się intendenta /zawchoza/ szpitala - Głamazdy, prawie analfabety, również alkoholika, nadto epileptyka. Był popierany przez administrację terenową do czasu ujawnienia niedoborów z sum pobieranych zaliczkowo. Zaciągnięty dług Głamazda musiał spłacić, pozbywając się kilku sztuk trzody z własnego gospodarstwa.

Zupełnie innym pracownikiem był księgowy Kuropatwa; lojalny pracownik, mówił dobrze po polsku i nie skorzystał ze zmiany sytuacji, gdy do głosu przyszedł władze ukraińskie. Kuropatwie można było zwierzyć się z kłopotów i dać nawzajem posłuch jego wątpliwościom i zasłyszonym politycznym nowinom. Kuropatwa bał posługiwać się swoim prawdziwym nazwiskiem Kuropatow, które bolszewicy mogli skojarzyć z osobą carskiego generała.

Jesienią 1940 roku władza radziecka wydała ostre zarządzenie dotyczące punktualnego przychodzenia do pracy. Już dwukrotne piętnastominutowe spóźnienie wymagało od kierownika instytucji, a więc również szpitala, przekazywania sprawy do sądu ludowego. Na dodatek kierownik placówki był wzywany w charakterze świadka. Staralem się więc unikać takiej sytuacji i w razie spóźnienia pracownika, który zwykle przychodził na czas, dawałem tylko ostrzeżenie, chyba że świadkiem spóźnienia pracownika była pielęgniarka Luba, wówczas pokazywałem jej mój zegarek spóźniający się umyślnie o kwadrans. Luba odwoływała się do ściennego zegara, ale ja autorytatywnie twierdziłem, że obowiązuje mój zegarek kieszonkowy. I na tym najczęściej kończyło się. Tylko raz musiałem przykładnie ukarać krnąbrną salową, ale okazało się, że jest zbyt młoda. Sędzia zaprowadził pozwaną do gabinetu i w mojej obecności zbeształ.

Budżet szpitala był ściśle określany, ale przy różnych okazjach prostowany, najczęściej in minus. Podział na paragrafy nie pozwalał na dowolne robienie oszczędności na wydatkach z jednego i przenoszenie uzyskanych sum do drugiego paragrafu. Pieniądze były przekazywane do banku dwa razy w miesiącu. Kwotę na pobory, obwarowaną specjalnym dokumentem, wypłacano zazwyczaj regularnie, ale sumy na inne wydatki były często kwestionowane przy wypłacie w banku, obsługującego dwa rejony lecz mieszczącym się w Ołyce. Najczęściej kwestionowano wydatki gospodarcze. Z tej pozycji czerpaliśmy fundusz na drobne, ale niezbędne, naprawy sprzętów i doraźne remonty. Bank odrzucał nieraz czek zawierający drobną i nieistotną niedokładność, co wymagało wypełnienia nastę-

pnego czeku i powtórnego wyjazdu. Z upływem czasu poznawaliśmy - ja i księgowy Kuropatwa - tajniki gospodarowania budżetem i dochodziliśmy do zgody z wydziałem finansowym rejonu i bankiem. Przyciśnięty koniecznością, mogłem interweniować w Łuckim Obłzdrawie, gdzie zwykle pocieszano, że brakujące sumy budżetowe zostaną wyrównane z tak zwanego „epidfondu”, to jest funduszu epidemicznego - co sprowadzało się do asygnowania dodatkowych pieniędzy na uruchomienie łóżek dla zakaźnie chorych. Łóżka te, stanowiące pogotowie, mogły stać niezajęte.

Jak podałem poprzednio, zacząłem pracę w Cumanii, w niekorzystnej atmosferze, w gronie personelu stojącego częściowo po stronie zwolnionego lekarza Sechenia i zastępu radzieckich pielęgniarek mało doświadczonych i dość prymitywnie szkolonych, patrzących spod oka na pracę i zarządzenia obcego ideologicznie zwierzchnika. Przytoczę kilka wydarzeń, które już na początku pracy mogły zachwiać moją pozycję.

Oto chory, młody człowiek, któremu nakłuwałem jamę opłucnej w celu wypuszczenia płynu zapalnego, traci podczas zabiegu przytomność i gdyby to nie był krótkotrwały mechanizm odruchowy, lecz dla przykładu zator powietrzny do ośrodkowego układu nerwowego, miałbym bez wątpienia dochodzenie, nawet prokuratorskie. Kilka dni później starszy wiekiem pacjent z objawami zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych doznał zapaści krążeniowej przy nakłuciu lędźwiowym. Zanim doprowadziłem chorego do stanu nie zagrażającego życiu, przeżyłem minuty dużego niepokoju. Po tych wydarzeniach nie było już większych kłopotów i moja pozycja stawała się coraz mocniejsza.

Niedługo przed świętami Wielkiej Rewolucji Październikowej wezwałem samolot sanitarny z Łucka do przewiezienia tam ciężko chorego dziecka do szpitala wojewódzkiego. Tym posunięciem, nie mającym na tym terenie precedensu, zaimponowałem personelowi sanitarnemu, szczególnie jego pracownikom radzieckim, którzy dali wyraz swej aprobie umieszczając odpowiedni artykuł w gazecie ściennej: „Nasz doktor dobrze pojął i stosuje zasady radzieckiej służby zdrowia”. Po tym podsumowaniu mojej pracy uznałem, że nadszedł czas, żebym mógł spać spokojnie.

Od czasu do czasu trzeba było jechać do Łucka, gdzie mieściły się biura Obłzdrawu, baza farmaceutyczna i Sanepid. Zwykle jechałem razem z kolegą Gelbsztajnem, który miał swoisty sposób załatwiania spraw, szczególnie u urzędujących kobiet, prawiąc im niewybredne komplementy, poparte nieraz drobnymi upominkami. W ten sposób potrafił łatwiej zdobyć leki, wyposażenie laboratoryjne, instrumenty chirurgiczne i połoźnicze.

Szarą eminencją w Wydziale był towarzysz Złotkin, lekarz pochodzący z tamtych stron, który usilnie namawiał mnie w czerwcu 1941 roku, tuż przed samym najazdem hitlerowskim na Wschód, do objęcia stanowiska dyrektora sanatorium przeciwgruźliczego w Maniewiczach, leżących w sąsiednim rejonie. Nie chciałem opuszczać Cumania, gdzie byłem już zadomowiony. Wkrótce wybuchła wojna. Złotkin padł ofiarą bombardowania Łucka już w pierwszym dniu walk. Sprawa Maniewicz upadła.

Zimą 1940/41 roku byłem na odprawie lekarzy województwa w Łucku. Tu nie przestrzegano tak rygorystycznie mówienia na zebraniu w języku ukraińskim, mówiono przeważnie po rosyjsku, ale w gronie lekarzy w przerwach i po rozprawach panowała mowa polska. Bufet, przygotowany przez panie, przypominał czasy przedwojenne. Sięgnąłem pamięcią do mojego pobytu w Łucku w roku 1935., Odbywał się tu Zjazd Lekarzy Internistów z całej Polski. Wygłosiłem moją pracę dotyczącą ropnych i zgorzeliowych chorób płuc. Goszczono nas wtedy w kasynie garnizonowym nie tyle wystawnie, co obficie i wylewnie, gdyż napojów alkoholowych było niemało.

Do Cumania odbyłem część drogi saniami, stojąc na płozach w mizernych półbutach, a mróz panował siarczysty. Jechałem z kierowniczką Rajzdrawy /rejonowego Wydziału Zdrowia/ towarzyszką Tamarą Wasiliewną Sidielnikową, młodą i mało jeszcze doświadczoną felczerką. Przystojna, pozbawiona manieri wszystko wiedzących radzieckich wychowanek organizacji komsomolskiej, Tamara przyznawała mi zwykle rację w sprawach służbowych, ale w ważniejszych decyzjach zmieniała nieraz zdanie. Wiosną 1941 roku miała już nową, na miejscu uszytą garderobę według wskazówek naszych młodych par. W tym nowym odzieniu wyglądała trochę śmiesznie, tym bardziej, że zamieniła toporne buty z cholewami na zgrabne pantofle, w których początkowo nie potrafiła poruszać się. Tamara zaczęła w tym czasie kochać się na dobre w pewnym młodym leutenantcie, zbyt mało czasu poświęcając sprawom służbowym.

Ledwie poczułem w Cumaniu pewniejszy grunt pod nogami, gdy w początkach listopada zjawiała się ze Stanisławowa pielęgniarka Stefcia Komarówna. Tego dnia wyjechałem na kilka godzin w teren i wracałem pod koniec rannej zmiany personelu. Naprzeciw mnie wybiegła pielęgniarka Luba zachłystując się wiadomością:

- Doktor, k'wam żinka przyjechała!
- Jaka żinka? Co ty mówisz, Luba?
- Przysięgam! Przyjechała, czeka w holu.

Ku memu zdziwieniu ale i zaniepokojeniu była to Stefcia. Zamiast okazać zadowolenie, robiłem jej wyrzuty, że jeszcze nie czas na odwiedzi-ny, które mogą naprowadzić na moje poprzednie miejsce pracy i nie ujawnione okoliczności odejścia ze Stanisławowa. Stefcia w płacz, bo przecież jechała z tak daleka, z dużymi trudnościami. Ostatnie parę kilometrów do Cumania musiała iść pieszo, niosąc walizkę z resztą moich rzeczy. No cóż, trzeba było ponieść konsekwencje. Odprowadziłem gościa do kolchozu Gelbsztajna, a sam wróciłem jeszcze do szpitala. I tu znów zastąpiła mi drogę Luba:

- Doktor, skażitcie mnie, kto ce takij? - pytała z rosyjska po ukraińsku.

- Moja znajoma - odpowiedziałem.

- Jaka znajoma? Odpowiedźcie koniecznie! - nie ustępowała Luba.

Widząc, że nie uwolnię się od natarczywej komsomołki, nie zaspokoilwszy jej ciekawości, powiedziałem wprost, śmiejąc się:

- Eto moja lubownica. Teraz już wiesz. -

Na tym skończyła się indagacja, ale byłem pewnien, że jeszcze tego samego dnia będą powiadomione odpowiednie władze, że odwiedziła mnie obca osoba. Krótki pobyt Stefci nie miał jednak żadnych administracyjno-milicyjnych następstw.

W ciągu późno jesiennych miesięcy i zimą 1940/41 roku wymiana pocztowa z Generalną Gubernią była na tyle uregulowana, że mogłem korespondować, a nawet wysyłać paczki z żywnością. Posyłałem słoninę do domu w Pruszkowie. Później dowiedziałem się, że część produktów zepsuła się, gdyż droga trwała zbyt długo. Należało wysyłać słoninę wędzoną, o czym nie pomyślałem.

Święta Bożego Narodzenia były na tym terenie zwykłymi dniami roboczymi i minęły w smutnym nastroju, gdyż nie miałem w tym czasie bliższych znajomych w Cumaniu. Dopiero na Nowy Rok 1941 ubrano oficjalnie choinkę „noworoczną”. Jednak w szpitalu, jak pamiętam, nie zabrakło choinki w dzień wigilijny, chociaż był zakaz obchodzenia tej tradycji. Nadszedł z opóźnieniem list z domu z życzeniami zawierający wycięte z opłatka trzy serca od dzieci, Lucyna nie załączyła serca od siebie, co odczułem jako dużą przykrość. To posunięcie zdziwiło mnie, gdyż Lucyna po przeprowadzeniu ze mną rozwodu i wyjściu powtórnie za mąż zmieniła styl pisania do mnie listów, które stały się niemal serdeczne. Może żałowała swego postępowania, a może - i to chyba pewniejsze przypuszczenie - uznała, że nie potrzebuje już przedstawiać mi się w lepszym świetle, czego przedtem przestrzegala z pewną konsekwencją.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy na terenie Związku Radzieckiego zmieniono dni odpoczynku, przywracając świętowanie niedzieli. Była to duża ulga, gdyż w poprzednim okresie gubiłem się w gmatwaninie kalendarza. Rada Komisarzy Ludowych, tłumacząc to posunięcie, powołała się na sytuację na wsiach, gdzie jeszcze obchodzono niedzielę obok tzw. „dni odycha”. Był to wstęp do innych posunięć nawracających do zwyczajów przyjętych w większości krajów świata. Między innymi przywrócono stopnie oficerskie generałów i admirałów oraz wprowadzono godność marszałków. Widoczną oznaką tych zmian było skasowanie na kołnierzach krawców, prostokątów, trójkątów i rombów na epolety bardzo podobne do tych, jakie nosili oficerowie w czasach carskiej władzy.

Będąc jeszcze w Stanisławowie, śledziłem z zaciekawieniem, ale i z pewnym niepokojem, pociągi wypełnione sprzętem wojskowym okrytym plandekami, zdążające ku granicy Rumunii. Było to na przełomie 1939/40 roku. Wkrótce zostało ogłoszone ultimatum radzieckie z żądaniem zwrotu Besarabii, po czym dokonano się zajęcia tego terytorium rzekomo poddającego się dobrowolnie. Zimą śledziłem w prasie i radiu wojnę między Związkiem Radzieckim a Finlandią, podziwiając bohaterstwo tego niewielkiego kraju w zmaganiu z wielką Rosją.

Raz w tygodniu przyjeżdżało do Cumania kino, ale filmy były już ograne.

Zdarzyło się, że dawano bardzo dobry zachodni film „Wiedeński Walc” z fantastyczną Milicją Korius, która tańczyła posuwicie śpiewając Strausowskie walce. Film - nagrany w urokliwej scenerii wiedeńskiego lasu i nad pięknym modrym Dunajem - znałem już z Warszawy, ale dziewczęta radzieckie, moje pielęgniarki, nie odważyły się przyznać, że film podobał się im. Obecnie trudno mi przypomnieć sobie, czym wypełniałem wówczas chwile wolnego czasu. Oprócz pracy w szpitalu, odwiedzałem nieraz chorych w ich domach, były to zwykle rodziny radzieckich dygnitarzy rejonowych. Kobiety interesowały się moimi sprawami rodzinnymi, szczególnie dziećmi. Czy otrzymuję listy? Był taki okres, kiedy listów nie miałem. Kilka dni po rozmowie z żoną zastępcy komendanta rejonowej placówki NKWD nadszedł list, o czym ta osoba już wiedziała. Sporo kłopotów miałem z nerwicową pacjentką, żoną kierownika wydziału finansowego. Często chorowała - nie było to jednak nic poważnego, ale jej dziecko przechodziło u mnie w szpitalu płonicę. Matka nie opuszczała go nawet na krótki czas. Zachowywałem ostrożność wobec tej osoby, gdyż śledziła mnie niekoniecznie ze względów politycznych.

W dniu trzynastym czerwca 1941 roku moja matka, Antonina, obchodziła tam w kraju dzień imienin. Chciałem zmówić pacierz na jej intencję. Przyznaję, że musiałem przemykać się do kościoła, stojącego na widocznym miejscu w otoczeniu urzędów. Nie chodziło mi o własne bezpieczeństwo, ale o spokój w wykonywaniu mojej odpowiedzialnej pracy.

Do moich obowiązków należały również czynności rzeczoznawcy w sądzie i prokuraturze. Prokurator Choduzow nie był zapewne dyplomowanym prawnikiem, ale miał wystarczającą wiedzę praktyczną. Badalem pewnego dnia młodego Ukraińca, który stracił 2 palce u prawej ręki, rzekomo podczas rąbania drzewa. Wypadek miał miejsce tuż przed powołaniem poszkodowanego do wojska. Naturalnie zastrzegłem się wobec prokuratora, że nie jestem specjalistą medycyny sądowej, co wywołało dość ostrą replikę z jego strony:

- A wyście ukończyli wyższy zakład naukowy!
- Ukończyłem - odpowiedziałem.
- No, to prowadźcie badania!

Jednak w dalszym ciągu prokurator naprowadzał mnie na niezbędne elementy różnicowania sądowo-lekarskiego. Poborowy był, jak się okazało, leworęczny. Ucięte zostały 2 palce: wskazujący i środkowy prawej ręki. Poborowy posługiwał się częściej lewą ręką. Prokurator kazał wykonywać badanemu różne trudne czynności, które wykonywał dostatecznie sprawnie.

- Dlaczego obciąłeś dokładnie dwa ważne palce, nie kalecząc innych?
- Przy rąbaniu - wyjaśnił poborowy. - Chwyciłem polano tak, że między uciętymi palcami a pozostałymi znalazł się spory sęk, który zahamował uderzenie siekiery i oszczędził pozostałe palce.

Według mnie - czego nie powiedziałem prokuratorowi - obcięte palce na poziomie stawów śródreżnych-palcowych mogły być wyluszczone operacyjnie, co zdarzało się w tych okolicach obok innych okaleczeń przedpoborowych. Na rozprawie prokurator zapytał mnie, czy na zasadzie przeprowadzonego badania mogę stwierdzić w stu procentach, że palce zostały ucięte umyślnie. Zastrzegłem się, że dla wydania takiego orzeczenia należy wykonane badanie poprzez zdjęciem rentgenowskim. Chciałem po prostu odroczyć wydanie wyroku i dodać nieco nadziei poszkodowanemu i jego bliskim. Prokurator nie zgodził się na badanie rentgenowskie i podyktował protokulantce, że pewność umyślnego okaleczenia wynosi 98%. Wyrok był współmierny do ceny, jaką prawodawstwo radzieckie wyznaczyło za odrzucenie zaszczytu obrony ojczyzny.

Ponownie znalazłem się w sądzie w charakterze świadka w całkiem innej sprawie. Komendant straży tartaku wnosił oskarżenie przeciwko robotnikowi o nie stawienie się do pracy. W tym czasie pozwany przebywał w szpitalu pod opieką mojego personelu z powodu biegunki podejrzanej o czerwonkę. Oskarżyciel twierdził, że robotnik symulował chorobę. W czasie rozprawy zastanawiałem się, czy rozpoznanie choroby było dostatecznie udokumentowane, ale w karcie choroby postawiłem rozpoznanie „giemokolit” - biegunka z domieszką krwi i tego trzymałem się, składając wyjaśnienia. Sędzia ogłosił uniewinniający wyrok, co wywołało gwałtowny sprzeciw ze strony oskarżyciela, komndanta straży tartaku.

- Ja na ciebie - krzyczał na sali sądowej pod adresem sędziego - napiszę skargę do prokuratora Obłasti w Łucku!

Następnego dnia przyszedł do mnie sędzia z prośbą o mocniejsze udokumentowanie mojego wystąpienia w sądzie. Byłem oburzony zachowaniem się komendanta straży tartaku i kategorycznie poparłem stanowisko sędziego. Nieraz bywał on u mnie jako pacjent, nerwicowy osobnik, nie pasujący do atmosfery takiej sali sądowej, jaką opisałem.

Nie w każdych jednak okolicznościach prokurator Choduzow był w miarę rzeczowy. Pewnego razu zatelefonował do mnie tak zaczynając rozmowę:

- Cóż to wy, doktorze, zajmujecie się anarchią?

Chodziło o to, że chłop, dostarczający wozem drzewo opałowe do szpitala, zażądał nadmiernej opłaty, czemu sprzeciwiłem się i prokuratorowi starałem się wyjaśnić, że chodziło mi o pieniądze społeczne, a nie osobistą rozgrywkę z kierowniczką wydziału zdrowia, która zadecydowała za mnie, dysponenta budżetu szpitala. Choduzow nie chciał słuchać moich racji, powtarzając żebym nie zajmował się anarchią.

- A wy, doktor, pierestańcie zanimatsia anarchiej. -

Oswiadczyłem w końcu, że wydám polecenie wypłacenia żądanej sumy. Nie mogę również pominąć moich wezwań do tymczasowego aresztu NKWD, gdzie trzeba było badać zatrzymanych i wystawiać opinię lekarską o zdolności badanego do odbycia dalszej drogi pod strażą. Przyznać muszę, że zatrzymani, przeznaczeni do badania lekarskiego, byli umyćci, ogoleni i schludnie ubrani. Formuła, jaką trzeba było posłużyć się na piśmie - („Możet śledowat' etapom”) - zapewne przetrwała od czasów caratu.

Kilkakrotnie zetknąłem się z funkcjonariuszami milicji i prokuratury, którzy od początku podchodzili do sprawy z przeświadczeniem, że tylko oni mają prawo decydowania o wszystkim. Rozmowę prowadzili podchwytliwie i zastraszaąco, nierzadko wyjątkowo grubiańsko i cynicznie. Zdarzyło

się na przykład, że w otaczających lasach, na wyrębie, padające drzewo przygniotło pracownika, który doznał strzaskania kości miednicy i kręgosłupa ze zmiążdżeniem części miękkich, czemu towarzyszył wstrząs krążeniowy. Pęcherz moczowy został poszarpany, toczyła się krew na zewnątrz. Zaopatrzyliśmy rozległą ranę i częściowo opanowaliśmy krwawienie. Wezwałem z sąsiedniej Ołyki chirurga, kolegę Tugentala, byłego asystenta szpitala na Czystym w Warszawie. Po zbadaniu sytuacji byliśmy zgodni w opinii, że w warunkach podległego mi szpitala, jak również w szpitalu w sąsiedniej Olyce, nie było możliwości uratowania poszkodowanego, który wkrótce zmarł. Otóż przedstawiciel prokuratury obcego rejonu, wyjątkowo arogancki, uważał, że nie wezwałem specjalnie chirurga z sąsiedniego szpitala rejonowego, lecz skorzystałem z jego przypadkowej obecności w Cumanii. Wydarzenie to było tak sprzeczne z moją dobrą wolą i staraniami dla ratowania rannego, że zapamiętałem to jako wyjątkową niesprawiedliwość i przykrość.

Jesienią 1940 roku odbywał się w Cumanii pobór do wojska. W komisji uczestniczył lekarz wojskowy w randze majora i miejscowy kolega. Po zakończeniu prac major odwiedził mnie w szpitalu. Jakoś szybko nawiąaliśmy bardziej szczerą rozmowę. Mówiłem z jakim oddaniem pracuje cały mój personel, ale nie mogłem nabrać przekonania, czy ten wysiłek i dobra wola są należycie oceniane przez władze, chociaż rozumieją to chorzy i ich rodziny. Major odwzajemnił się szczerością, poruszając sprawę przesiedlania w Kijowszczyźnie osiadłej polskiej ludności, czemu był jak najbardziej przeciwny. Przytoczyłem to spotkanie jako wyjątkowe, gdyż w rozmowie z ludźmi radzieckimi należało wypowiadać się jak najostrożniej, poruszając tylko sprawy obojętne. Wśród chorych szpitalnych byli tacy, którzy - widząc nasze starania - pozwalali sobie na pewną otwartość. Dopiero po przyjeździe Niemców część ludzi radzieckich odkrywała swoje karty, a im bardziej byli przedtem oddani ustrojowi komunistycznemu, tym wyraźniej odżegnywali się teraz od tamtej wiary.

(c.d.n.)